№ 6. Czwartek, dnia 10 Lutego. Rok 1876.



WARSZAWA dnia 27 Stycznia (10 Lutego) 1876 r.

Wychodzi w każdy Czwartek.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50. Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.

REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351. (nowy 11). Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

Do M. B.

(Z powodu wiersza jej **„Słowik w Klatce“** zamieszczonego w Nr. 5 **„Ogniska Domowego“**).

Nie płacz, Ty dobra, nad słowika dolą,—
Są stokroć gorsze nad klatkę niewole,
Co bardziej gniotą i dotkliwiej bolą,—
Nie tych, co piętno ich noszą na czole.
Takiemi: serca i ducha zimnota,
I wstręt do piękna a pociąg do—błota!

Czy znasz, Ty smutna, smutniejszą rzecz w świecie
Nad pierś bez czucia na bliźnich cierpienie,
I rzecz smutniejszą nad bezwonne kwiecie,
Nad żar, którego nie grzeją płomienie,
Nad głos, co głośny a bez echa ginie,
Nad zimne, puste, bez bóstwa świątynie,

Nad ironią co plwać tylko umie,
Nad obojętność niezdolną zapału,
Nad pychę w własnym li ufną rozumie,
Nad starą młodość próżną ideału,
Nad marne próchno, które błyszczy zdala
I ach! nad ptaka, co swe gniazdo kala!

Nad takim ptakiem, zapłacz, smutna, rzewnie,
Bo nad słowika w gorszej ten niewoli,—
Bo to ptak nocy, bo jego oh! pewnie
Ni brak swobody, ni światła nie boli.
Otwórz mu klatkę i pokaż że świeci
Słońce na niebie,— on w słońce nie wzleci!...

O! nad takiemi, płacz, Ty dobra, w pieśni,—
Bo nie ma nędzy nad nędzę tych ciemnych,
Bo o ich zgonie słowik nawet nie śni,
Bo oni pójdą do krain podziemnych,
Pójdą, gdzie wszelka zginęła pociecha...
Bez echa żalu i—bez pieśni echa!

G. C.

SŁÓWKO O POLEMICE LITERACKIEJ.

— O polemice !... aha !... Więc panowie... tego... w «Ognisku Domowem«...

— Co pan dobrodziej (pani dobrodziejka) chcesz przez to powiedzieć ?...

— Nic — tylko... ja myślałem (myślałam), że...

— Że co ?...

— Że «Ognisko»... w polemiki...

— Wdawać się nie będzie? Wszak tak?... Uspokójcie się szanowni państwo, — i my tak myśleliśmy, a dziś jeszcze bardziej tak myślimy. Przedtem sądziliśmy, że polemika właściwie literacka i naukowa, nietylko nie byłaby w ramach pisma naszego anomalią, ale owszem mogłaby się wielce przyczynić do ożywienia samego pisma i do podniesienia korzyści z niego dla czytelników spłynąć mogących...

— No, a kiedy tak, co zresztą rzecz słuszna i sprawiedliwa, żeby czytelnicy z pisma które prenumerują, jak największe odnosili korzyści, to dla czegóż nie tego...

— Dla tego, szanowni państwo, że z każdym dniem przekonywamy się bardziej i dowodniej, iż w obecnym stanie naszego nastroju umysłowego, w obec ogólnego mniej więcej temperamentu dzisiejszej literatury naszej, polemika prawdziwie literacka, polemika poważna, przyzwoita, umiejąca uszanować i sam przedmiot sporu,

i siebie, i przeciwników swoich, staje się a raczej stała się już podobno czystem prawie niepodobieństwem.

Nie chcemy, ani nie możemy wdawać się tutaj w rozbiór przyczyn, które zjawisko to wywołały, gdyż by nas to zadaleko zaprowadziło, — ale faktem jest, któremu podobno nikt nie zaprzeczy, że, w ostatnich zwłaszcza czasach, w zastępie naszych pracowników pióra dziwna zapanowała drażliwość, czy wygórowana miłość własna, która wszędzie, we wszystkiem i przedewszystkiem widzi swoje *ja*, o którego nietykalność niewypowiedzianie jest troskliwą. *Noli me tangere*, stało się hasłem, które z nadzwyczajną skrupulatnością stosujemy... niestety! tylko do siebie, nie do drugich. Chociaż się zdarzy, że ktoś wystąpi z zarzutami, z krytyką samej treści, pojęć, zasad, dążności jakiegoś pisma, książki, artykułu — (co zresztą, przyznać trzeba, zdarza się dosyć rzadko), — to autor artykułu lub książki, albo redakcya pisma, biorą to po prostu za osobistą obrazę, i w odpowiedzi, której nigdy nie zostają dłużni, stają odrazu na stanowisku obrażonych, a jako tacy, starają się być nawzajem o ile możności jak najbardziej obrażającymi. Raz na tę drogę sprowadzona polemika, toczy się już i dalej tym torem, przyczem dość często się zdarza, że powoli obadwaj zapaśnicy zapominają coraz bardziej o właściwej przyczynie, która polemikę wywołała; jeżeli w artykułach pierwszych była mowa o książce lub obrazie p. X, skrytykowanym przez p. Y, to w artykułach końcowych nie znajdujemy już prawie wzmianki o książce lub obrazie, a spór, niezawsze trzymający się ściśle elementarnych warunków przyzwoitości, toczy się już jedynie o to, czy pan X jest mędrszym, lepszym, zacniejszym i t. d. od p. Y., czy przeciwnie. Trwa to dopóty, dopóki wreszcie jeden z zapaśników nie opamięta się, i przyszedłszy do przekonania, że tą bronią którą go atakuje przeciwnik, walczyć dłużej własna mu godność nie pozwala, nie schowa do pochew oręża i nie ustąpi z pola. Bój zatem kończy się smutnym tryumfem jednego z walczących, nie wydawszy żadnego rezultatu dla rzeczy samej, nie wyświeciwszy zupełnie sprawy o którą chodziło, nie przyniósłszy żadnego pożytku, żadnej zdrowej karmy umysłowej dla ogółu czytających, owszem zgorszywszy go i zatruwszy fatalnym przykładem osobistej waśni i zawiści ze strony tych, których obowiązkiem właśnie jest: świecić przykładem poświęcenia osobistości na ołtarzu dobra publicznego.

Temu to nieszczęsnemu ustrojowi wzajemnych stosunków w świecie naszym literackim przypisać należy w znacznej części między innemi i to, że literatura nasza, mianowicie peryodyczna, nie wywiera na massy, na ogół, takiego wpływu, jaki wywierać by mogła i powinna. Przykład idzie z góry, panowie! Czy wiecie jaki skutek przedewszystkiem wywołują w massach nasze nauki, napomnienia, «nawoływania» jak je nazywać lubicie?... Oto ten, do którego samiśmy drogę wskazali; wywołują oburzenie, wywołują *obrazę osobistą*! Każdy kto się czuje choć cokolwiek admonicyą dotkniętym, poczytuje się za obrażonego, sroży się, i niezdolny wystąpić z nami w literackie szranki, innego rodzaju zwykle odgraża się repressyą. Rozsądniejsi, umiarkowańsi, wykształceńsi zresztą, kiwają smutnie głowami. «Może to i prawda,— mówią albo myślą sobie — może wiele jest słuszności w tem co nam prawicie, — ale cóż z tego? Na co się to zdadzą próżne słowa! Przykład zawsze najlepiej, i podobno jedynie, nauczyć czegoś może. Dajcie nam więc przykład zgody, jedności, wzajemnego poszanowania, miłości, wspólnej pracy dla ogólnego dobra, poczucia własnej godności, — a wtedy dopiero, jeśli was naśladować nie będziemy, «nawołujcie» nas do tych wszystkich cnót, których w takim razie prawdziwemi kapłanami będziecie. Dopóki tak się nie stanie, głos wasz, po staremu, będzie głosem wołającego na puszczy. Kto chce sąsiada za nieporządek strofować, musi wprzód własną izbę umieść do czysta»...

Tak mówią, wierzajcie nam, ci maluczcy na duchu, których my, z wysokości naszych trójnogów, tak zamaszyście chłoszczemy nieraz za różne przewinienia przeciw zgodzie, wzajemnemu poszanowaniu, wspólnej pracy, poczuciu własnej godności, i t. d.—Uderzmy się w piersi i przyznajmy, że ci maluczcy mówią dobrze!...

Jeszcze jedna uwaga. Nie jesteśmy z tych, co to lubią «ucztować jak zbójce lub mnichy»:—śmiech, wesołość, dowcip, humor nie są nam bynajmniej wstrętnemi;— ale jesteśmy tego przekonania, iż najprzód są pewne położenia i względy ogólne, które czasami zapędy humorystyki i zbytniej wesołości do pewnych granic miarkować nakazują,—a następnie, że pominąwszy nawet te ogólne względy, dowcip i humorystyka nie wszędzie są na swojem miejscu. Tymczasem rozwielmożniły się one obecnie wielce w bieżącem piśmiennictwie naszem, a szczególniej szerokie pole zastosowania znalazły w owych harcach polemicznych, o których wyżej była mowa. Otóż zdaniem naszem, jeżeli gdzie, to tutaj są one nie na swojem miejscu. Użyte jako złośliwy czynnik do dokuczenia przeciwnikowi, do ośmieszenia go, do obrzucenia go niejako moralnem błotem, schodzą już tem samem do najniższej swojej kategoryi,—a czepiając się, nierzadko z wielkim cynizmem, poważnych rzeczy, a choćby nawet tylko poważnych osób, rażą przyzwoitość, dobry smak i budzą wstręt w najobojętniejszym nawet, byle posiadającym wykształcone uczucie estetyczne człowieku; — nie przekonają nikogo, choć czasem uśmiech wywołają na usta. Dowcip, humor, nie są bronią do walki o sprawy poważne.

Zresztą w ogóle biorąc, to nadmierne rozsiadanie się humorystyki w piśmiennictwie naszem, niedobrym, według nas, jest objawem. Nie mówiąc o innych względach, w każdej społeczności, w każdej jednostce, choćby najszczęśliwszemi cieszącej się stosunkami, zbytek wesołości, niezwykła skłonność do śmiechu, są objawem ujemnym, cechującym co najmniej bezmyślność. Czyż my, bardziej niż ktokolwiek inny, nie powinnibyśmy strzedz się tego rodzaju objawów?...

«Nawołujemy» ogół do brania życia na seryo, a sami do jednego z najdostojniejszych objawów naszego życia, do piśmiennictwa, wprowadzamy żart, szyderstwo, powiemy urąganie ze wszystkiego, nawet z tego, co powinno być dla nas świętem i nietykalnem. Czyż to nasza droga? Czyż tak daleko zaszliśmy, że drogi tej porzucić już nie jesteśmy w stanie?...

Mieliżbyśmy pozwolić, aby dzięki upornemu naszemu obstawaniu przy raz obranym, a raczej, chcemy wierzyć, fatalnym zbiegiem okoliczności pochwyconym kierunku, dało się do piśmiennictwa naszego zastosować to, co o jednem z najstarszych miast naszych powiedział poeta:

«Biedny grodzie! jak dziwnie wyglądasz w tej dobie!
«Jak purpura królewska uwalana w śmieci,
«Jak nagi szkielet człeka co już spoczął w grobie,
«A w błazna szaty puste ubrały go dzieci!...

Nie sądzimy; — a lubo nie rościmy sobie pretensyi, ani nie łudzimy się zbyteczną nadzieją, aby słowa nasze osiągnęły skutek jakiegobyśmy pragnęli,—zdało nam się jednak powinnością naszą wypowiedzieć te kilka myśli i uwag podyktowanych nie żadnemi osobistemi lub koteryjnemi widokami, ale miłością ogólnego dobra i poczuciem ciążących na nas obowiązków. Powinność tę spełniamy—reszta w ręku Boga i w sercach i sumieniach tych, do których słowa te głównie zwracamy.—

Co do nas, starać się będziemy jak najściślej stosować do tego niejako wyznania wiary, wypowiedzianego

wyżej. W «Ognisku» trzymać się będziemy zdala od polemiki, wyjąwszy polemikę *rzeczywiście naukową*. Zaczepiać nie będziemy nikogo, ani też na zaczepki odpowiadać,— chyba jeśli one nastawać będą na nasze zasady i przekonania, których bronić zawsze będziemy mieli obowiązek, prawo i odwagę,—i jeśli uczynione nam będą w warunkach, w których poczucie własnej godności i stanowisko strażnika dobrego smaku, na którem wszystkie pisma stać powinny, na przyjęcie wyzwania nam pozwolą.

Jak się z tego postanowienia wywiązać zdołamy, o ile sił na jego wypełnienie nam starczy, przyszłość okaże, a Czytelnicy nasi osądzą.

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

SPISAŁ

Kaz. Wł. Wójcicki.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Państwo Bonifacowie *honeste*, jak się wyrażała sama pani Teofila, wystąpili w *ostatni wtorek*. Rzeczywiście wieczór wspaniale był urządzony, a że wypadało wcześniej zakończyć karnawał, goście już się zebrali około ósmej i zaraz tańce rozpoczęto.

Pani *Senatorowa*, która już cieszyła się drugim mężem, rozpocząwszy poważnego poloneza z panem Bonifacym, stanęła ochoczo w pierwszą parę do mazura z Tarnowskim; bojaźliwy Adam, idąc w drugą parę za konkurentem panny Jadwigi, z Ewunią, gdy się rozruszał, nietylko nie stracił z nim na porównaniu, ale w około usłyszał pochlebny szmer kobiet, które go nachwalić się nie mogły, jak powabnie wywija z piękną tancerką, jaka to dobrana wybornie para.

Pan Bonifacy z rozkoszą serca spoglądając na ukochane swoje dziewczątko i dzielnego jej towarzysza, pierwszy raz sam się gorliwie zajął, ażeby hojnie winem częstować zebraną młodzież, i zachęcał do nieustawania w zabawie, bo post wielki już za pasem.

Wieczerzę wspaniałą zastawiono przed jedenastą godziną, a tak się zwijano, że gdy dwunasta o północy uderzyła, gospodarz domu szanując wiejski staropolski zwyczaj, ukazał się z laską swoją, na której końcu pęk gruby śledzi był zawieszony.

Zbliżył się najpierwej do pani Senatorowej, która z przerażeniem się cofnęła.

— A pfe! zawołała, ja zapachu śledzia znieść nie mogę!

— Niech pani łaskawa,—odrzekł pan Bonifacy—tych się tak nie lęka, bo to warszawskie, w Wiśle poławiane!

Jakoż za bliższem przypatrzeniem przekonano się, że zręcznie były naśladowane ze smacznych marcepanów. Na tę wiadomość chętnie rozerwano niespodziany przysmak.

Umilkła muzyka, gospodyni domu nie śmiała do tańca zachęcać, rada nawet temu była, widząc jak Tarnowski ożywioną prowadził rozmowę z jej Jadwigą.

Pani Senatorowa usiadłszy przy niej, przemówiła:

— Ale, ale, czy wiesz kochana pani, kto się z waszych znajomych żeni, i to dawny sąsiad?

— Nic nie wiem, odrzekła pani Bonifacowa, spoglądając z pod oka z uciechą, że konkurent coraz więcej zbliża się do jej starszej córki.

— Dowiedziałam się wczoraj, mówiła nachylając się i zniżając głos, że ten bogacz wasz Sirawski, oświadczył się o rękę córki jakiegoś starego profesora, który głód marł z nędzy za Wolskiemi rogatkami.

— Ale to być nie może! Pan Bazyli, który zawsze taki wybredny w tym względzie, a wreszcie i w pewnych latach..

— To prawda—odparła pani Senatorowa—że człowiek niemłody, ale jeszcze dorodny mężczyzna, i nie jednego by on młokosa przeskoczył... Że też to on nie uderzył o rękę Jadwini albo Ewuni.

— Uważaliśmy go z mężem za starego dla naszych córek; wreszcie one nie potrzebują się łakomić na jego majątek, mają swego dostatkiem... dodała z dumą pani Teofila.

Senatorowa uderzona tą wiadomością, rachowała posag każdej jej córki przynajmniej na pół miljona, a życie wystawne i kosztowne państwa Bonifacych popierało ten domysł. Uradowana że wynalazła tak dobrą partyę dla swego protegowanego, po chwili milczenia przemówiła:

— Wszyscy się też dziwią że człowiek majętny, poniża się do takiej panny ubogiej. Ale panna musi być kuta na cztery nogi, kiedy tak doświadczonego człowieka, co zwiedził niemało świata, potrafiła przywabić. Mówiono mi że nawet nie ładna, ale któż może stanowcze zdanie wyrzec o guście mężczyzn!..

Rozmowa się przerwała, bo gospodyni domu musiała powstać dla polecenia aby rozniesiono jeszcze herbatę.

Około trzeciej godziny rano rozjechali się goście. Jakkolwiek zwolna, zbliżała się coraz więcej pewna nadzieja wydania starszej córki za Edmunda Tarnowskiego, bo widocznie okazywał zajęcie się nią coraz żywsze. Pani Senatorowa za każdą bytnością opowiadała wymownie jak się w pięknej Jadwidze rozlubował, i wyznał jej pod sekretem, że jeszcze żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia jak starsza córka państwa Bonifacych. Ubolewał nadto, że wkrótce musi opuścić Warszawę, albowiem wyjeżdża do dóbr swoich na Podole, ale niedługo powróci, i spodziewa się że rodzice Jadwini nie odmówią mu dalszych swoich względów. Pani Teofila uroczyście w swojem i męża imieniu zapewniła, że pod tym względem może być zupełnie spokojnym Pan Tarnowski.

* * *

Na trzeci dzień po *Popielcu* zajechała kareta na saniach i kilka sań fornalskich przed skromny dworek starego profesora. Pisarz Sirawskiego, po doręczeniu listu od swego pana, wysłał naprzód Seklucyana z córką w karecie, a po nich wszystkie sprzęty z mieszkania starannie upakowawszy, ruszył z niemi na całą noc wprost do Zakrzewia.

Na pół mili od Wólki Słomianej, starzec pierwszy dojrzał Bazylego na dzielnym wierzchowcu. Klara zatopiona w rzewnych myślach o swej doli, dopiero spojrzała na radosny wykrzyk ojca. W całej urodzie męzkiej i piękności ukazał się jej oczom narzeczony. Serce jej uderzyło silniej, żywy rumieniec okrasił lica.

— Prędzej! prędzej popędzaj! wołał rozpromieniony szczęściem i radością Bazyli, a sam pędził przy saniach galopem.

Na odgłos dzwonków, ganek we dworku cały się do razu zaludnił. Stała w nim na czele pułkownikowa, kapitan, panna Kunegunda i domownicy. Seklucyan ze łzami radości witał serdecznie pułkownikową, ściskał Pawła, pozdrawiał wszystkich. Klara upadła do nóg sędziwej matronie.

— O! cirociu moja kochana! zawołała rzewnym głosem, wyciągając do niej ręce, bądź dla mnie matką!

Pułkownikowa nie odrzekła słowa, ale ujęła ją w swoje objęcia, a ucałowawszy serdecznie, wprowadziła coprędzej do pokoju. Wesoło i gwarnie bawiono się w szczupłym dworku kapitana; czas szybko ulatał; panna Kunegunda skrycie wysłana do Warszawy, przywiozła gotową wyprawę dla panny młodej, którą zamówił Bazyli. Sam wyjeżdżał kilkakrotnie do Zakrzewia czy wszystko już w pogotowiu. W wigilię ślubu przybył Adam.

W ciągu tych kilkunastu dni, zima znikała powoli, śnieg roztajał, lody z rzek spłynęły: czuć było pierwszy powiew wiosny.

W przeddzień imienin Seklucyana, Bazyli złożył mu przy powinszowaniu, w najpyszniejszych wydaniach zbiór klasyków greckich i rzymskich, bo wiedział że tym ciężka moja zgryzota! Kiedy on będzie przecie mężczyzną!...

— Jak się ożeni, kochany stryjaszku, odrzekła na to jeszcze ciszej, śmiejąc się wesoło.

Ślub odbył się w cichości. Siwy jak gołąb proboszcz miejscowy, który błogosławił jeszcze panu Bonifacemu, połączył młodą parę.

Wczesny obiad zastawiono i prędko go spożyto, poczem wszyscy ruszyli do Zakrzewia. Rudzicki ich wyprzedził.

Obszerny dwór murowany, stojący pod cieniem świerków, lip i dębów, był w całości odnowiony: domownicy i czeladź dworska czekali z upragnieniem przybycia państwa, a przyjazd pana Adama ruch niezwykły wśród nich obudził.

Mrok już zapadał i poczęto zapalać światła, gdy zajechały dwa pojazdy. Z młodzieńczą żywością wysiadła pułkownikowa; podano jej tacę, na której leżał chleb i sól; a ona stanęła na progu domu, przy niej sędziwy profesor, obok proboszcz i kapitan. Niebawem głośny trzask bicza oznajmił przybycie państwa młodych i orszaku weselnego.

Klara z nieopisanem wzruszeniem, wjechawszy na duże podwórze, przyglądała się temu dworowi, w którym całą swą przyszłość zamknąć miała, gdzie miała stanąć

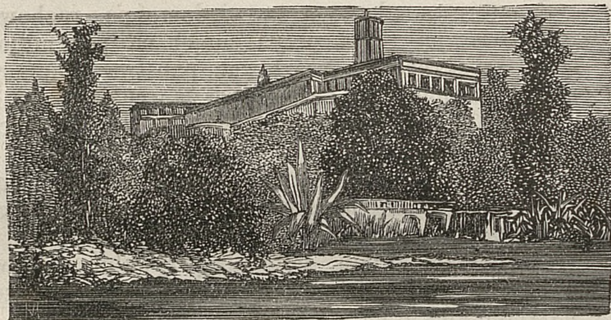


Fig. 12. Szapoltepek.



Fig. 13. Willa Borghese.

darem serce starca najwięcej uweseli. Jakoż zacny profesor nie posiadał się z radości, co chwila każde z dzieł przeglądał, unosząc się nad pięknością i sumiennością wydania.

Nadszedł wreszcie dzień tak upragniony przez Bazylego. Skromny kościołek w Wólce Słomianej zasłano dywanami, przystrojono w kwiaty. Kiedy zaszły pojazdy, Klara w białej sukni, z wieńcem rozmarynowym na czole, odebrawszy błogosławieństwo ojca i pułkownikowej, wsiadła z nią do karety, a za niemi Bazyli z ojcem, dalej kapitan, panna Kunegunda jako druchna i Adam jako drużba.

W połowie drogi Klara z radością usłyszała pierwszego skowronka.

— Moje dziecię, przemówiła ciotka, to dobra wróżba dla ciebie i twego przyszłego męża. O! to zacny człowiek, powinnaś go kochać i czcić, bo będzie troskliwie czuwał nad twojem szczęściem... Klara w milczeniu ucałowała ręce sędziwej matrony.

Na progach świątyni ukazała się nagle Ewunia, jako druga druchna. Miłą tę niespodziankę za wiedzą pułkownikowej urządził kapitan, ażeby uradować pana młodego. Panna Kunegunda skrycie przed dwoma dniami przywiozła ją z Warszawy, na prośbę listowną pułkownikowej do państwa Bonifacych.

Klara rozrzewniona, serdecznie dziękowała za ten nowy dowód życzliwości rodziny dla siebie, a pan Adam stał jak skamieniały, nie śmiejąc nawet słowa wyrzec.

— *Sapristi!* ten Adaś, poszepnął Ewuni kapitan, to jako kapłanka na straży domowego ogniska. Z należną pokorą przyjęła chleb i sól od sędziwej ciotki, jej i ojca nowe błogosławieństwo: poczem proboszcz przywdziawszy komżę, szedł przodem, obchodząc wszystkie pokoje, poświęcając dwór jakby nowy.

Młoda małżonka obok sypialni znalazła komnatkę wyłącznie dla siebie poświęconą. Stroiły ją kwiaty, piękne sztychy, litografie i drzeworyty, przedstawiające wizerunki zasłużonych krajowi mężów, albo też widoki piękniejszych okolic. Duża klatka miała kilka par kanarków, w dwóch obszernych szafach zbiór gustownie oprawnych książek, przedstawiał biblioteczkę z najlepszych pisarzy polskich. Przy jednej ze ścian bocznych stał klęcznik hebanowy, na nim krzyż ze Zbawicielem z kości słoniowej artystycznie wykonany, a na ścianie wisiał piękny obraz olejny Boga-Rodzicy. Na środku pokoju stół wielki dębowy, kosztownym dywanem pokryty, na nim wszystkie przybory do pisania, przy oknie krosienka misternie wykonane, z drugiej strony kołowrotek do przędzenia.

Kiedy Bazyli wprowadził ją do tej komnatki, Klara rozrzewniona, z załzawionemi oczyma, obejrzawszy się w około, porwała jego rękę, przytuliła do serca, a potem do ust poniosła. Małżonek odwrócił głowę, aby ukrył łzy radości i przycisnął do piersi ukochaną istotę.

— Chodźmy teraz, droga Klaruniu,—wyrzekł drżącym głosem, — naszego ojca wprowadzić do jego mieszkania.

Ona z radością nietajoną biegła naprzód i podała starcowi rękę.

— Tateczku kochany,—mówiła,—proszę z sobą, teraz zaprowadzimy go do jego pomieszkania.

Bazyli roztworzył drzwi poblizkie. Był to pokój obszerny o dwóch wielkich oknach. W nim, przy zbiegu dwóch ścian, wznosił się staroświecki z okapem kominek, a na nim suty gorzał ogień, bo wiatr marcowy coraz lepiej poświstywał. W czterech nowych szafach mieściła się i jego dawna biblioteka i nowe nabytki w przepysznej oprawie. Wprost kominka stało łoże wygodne już zasłane, bliżej jednego okna stół długi, zielonem suknem pokryty, do pracy, a przy nim ulubiony fotel pana Seklucyana. Na ścianach wisiały obrazy i sztychy przewiezione z Warszawy, równie jak i wszystkie sprzęty, do których starzec przywiązywał wartość pamiątkową. Przy małym na uboczy stoliku stało krzesło z poręczami, w którem przesiadywała matka Klary. Na ten widok starzec wydał okrzyk podziwienia, a potem ściskając serdecznie zięcia, wyrzekł rozrzewnionym głosem:

— O! mój Bazyli kochany! niech ci Bóg dobry szczęściem całego życia odpłaci za tę radość jaką mi sprawiasz!

Wkrótce zastawiono sutą kolacyę. Państwo młodzi zajmowali pierwsze miejsce, a obok siedziała pułkownikowa, z drugiej proboszcz z ojcem.

Na wzniesione przez kapitana zdrowie nowozaślubionych, odpowiedział Bazyli toastem na cześć i powodzenie wszystkich obecnych, nie pomijając przyszłej pomyślności Ewuni, z którą imie Adama Rudzickiego połączył.

Ewunia z wdzięcznym uśmiechem podziękowała kuzynkowi za dobre życzenia, ale pan Adam stał jak skamieniały, i gdy mu kapitan przypomniał kieliszek, zachłysnął się nim nieborak.

— *Sapristi!* Ewuniu droga, synowico moja, daj też dymisyą temu niedołędze, co nawet biednego kieliszka wina uczciwie wypić nie umie!

— Kochany stryjaszku, — odrzekła, — zaręczam że z czasem, pod opieką kochanego stryjaszka, i na to się zdobędzie.

O dziesiątej wieczorem całe towarzystwo, zmęczone nieco podróżą, udało się na spoczynek.

(C. d. n).

Z DZIENNIKA PODRÓŻY PO ŚRODKOWEJ AFRYCE,

oficera francuzkiego **Linant de Bellefonds.**

(Dokończenie.)

«*Środa 14 kwietnia.* Byłem u króla, który pokazywał mi dziś wnętrze swojej rezydencyi; jest to cały szereg dziedzińców mieszczących w sobie po jednej lub po kilka chat, a każda z nich zamieszkałą jest przynajmniej przez dwadzieścia kobiet. Chaty są dobrze zbudowane, dziedzińce czyste, nie znajdziesz na nich nawet źdźbła słomy. Całą rezydencyę okola parkan trzcinowy, wysoki na trzy metry.

«Z rezydencyi Mtezy, rozwija się widok zachwycający. Panuje on nad wszystkiemi okolicznemi wzgórzami. Zazielenione łany wdzięcznie się przeginają jak fale morza w najrozmaitszych kierunkach. Wioski bez liku rozsiadły się bądź na pagórkach, bądź pozapadały się w doliny kąpiące się w gajach bananowych. Wszystko tu oddycha życiem i wspaniałą, bogatą przyrodą. Na południu widać jakby olbrzymią, srebrną taflę zwierciadła: to wody jeziora Wiktorya.

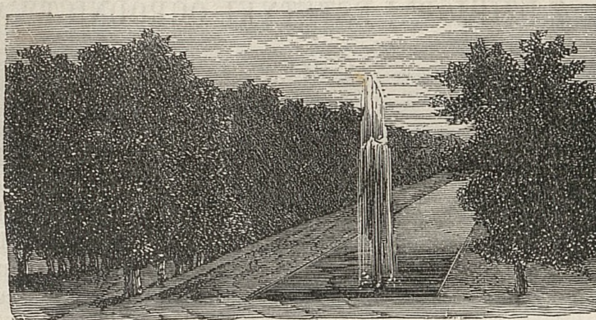


Fig. 14. Wielki kanał w Fontainebleau.

«Mteza, co znaczy w miejscowem narzeczu: «dobroczyńca, prawodawca», wybornie umiał obrać miejscowość dla swej rezydencyi. Okolica to czarowna, zdrowa, bogata.

«Zaledwieśmy weszli do wnętrza rezydencyi, mnóstwo kobiet różnego wieku, cery mniej więcej ciemnej, nosa płaskiego, grubych warg, silnie zbudowanych lub wątłych, oczu osadzonych poziomo lub skośnie, — rzuciły się za królem, darząc go «nianzings» (ukłonami) bez liku. Naturalnie, rassy bardzo są pomięszane w Ganda; masz tu afrykańskiego Negra, Abissyńczyka, Gallasa, Zanzibarczyka, rasy semityckie, — a przedstawicielki wszystkich tych typów znajdują się w seraju królewskim. Zupełnie czarny kolor kobiet z Bari, miedziana cera Abissynek i żółto-brunatny odcień ras semityckich zlewają się tu mniej lub więcej zgodnie.

«Porządek w którym postępujemy nie zgadza się z przyjętym we wszystkich krajach ucywilizowanych. Na przedzie postępuje wezyr i kilku Mtongalisów (tylko najpoufalszych), ja idę przed królem, a poczet żeński zamyka pochód. Ile razy się zatrzymujemy, kobiety się schylają, zbijając się w jednolitą massę, aby nam nie zasłaniać rozwijających się na okół widoków.

«W czasie jednego z takich przestanków, król prosi mnie abym zdjął «kufiech», a to w tym celu, żeby kobiety mogły mi się lepiej przypatrzyć; czynię zadosyć jego żądaniu, i w tej chwili ogłuszony zostaję wrzawą setek okrzyków: «gromghi» co ma oznaczać: jaki piękny! Bardzo mi to pochlebia; wszelako, niech mi raczy darować Mteza gdy wyznam szczerze, że przeniósłbym jedno najlżejsze skłonienie głowy europejskiej naszej damy, nad te oznaki powszechnego uwielbienia jego haremu.

«Ubiór tych kobiet składa się z jednej sztuki wyrobionej z kory drzewnej, lub z cienkich skór koźlęcych, silnie ściśniętej opaską powyżej gorsu. Temu to zapewne obyczajowi, wprost przeciwnemu używanej w Europie sznurówce, przypisać należy wadliwą a nawet wstrętną budowę biustu u kobiet tutejszych.

«Na szyi noszą one rodzaj naszyjnika ze szkieł, dosyć oryginalnego, i który wcale ładnie wygląda. Naszyjnik ten tworzy obwód dokładnie kolisty; wewnątrz znajduje się włókno bananowe na który nanizane są

ciasno perełki najrozmaitszych odcieni. Głowy mają wygolone i najzupełniej ogołocone ze wszelkich ozdób; nie noszą ani bransolet, ani kolczyków.

«W kraju Ganda wielożeństwo nie naraża bynajmniej na rujnujące wydatki ani króla, ani ludzi prywatnych, jak się to dzieje na całym wschodzie; przeciwnie, tutaj stanowi ono ekonomiczne źródło dochodów. W Ganda, kobieta wyłącznie poświęca się zajęciom rolniczym. Mężczyzna zajmuje się tu robotami stolarskiemi, kowalskiemi, pilnuje trzody, najczęściej jednak nic nie robi, oddając się włoskiemu *far niente*. Kobiety same orzą, sieją, zbierają, — co zresztą niewielkiego wymaga trudu, z powodu nadzwyczajnej urodzajności ziemi.

«Rzeczywiście, praca około roli jest tu bardzo ograniczoną; hodują roślinę «patat» która wschodzi niezmiernie łatwo; banany i platany rosną same, tworząc niezmierzone lasy; uprawiają też kukurudzę, lecz jedynie tylko w celu wyrabiania «pombe» (zapewnie rodzaj ciasta). W ogrodach króla i małej tylko liczby znakomitszych dygnitarzy, na drobnych kwaterkach sadzą cebulę, uprawiają cukrową trzcinę i ryż. Wszystkie roboty ciężkie są udziałem kobiety. Do nich należy chodzić codziennie do lasu po banany i nosić wodę z miejscowości nieraz bardzo odległych.

«Mieszkańcy Ganda biegli są we wszelkich wyszywaniach. Roboty ich kuśnierskie nie pozostawiają nic do życzenia, i mogłyby śmiało walczyć o lepsze z wyrobami paryzkiemi. Nadto, haftują bardzo delikatne wzory na jedwabiu. Król nawet z zamiłowaniem poświęca się temu zajęciu; cała jego świta również haftuje, a jeden przed drugim stara się odznaczyć na tem polu i pozyskać uznanie królewskie.

«Speke mówi, że w czasie jego pobytu w Ganda, król skazywał na śmierć dziennie od 80 do 100 osób. Dziś już to nie ma miejsca. W ogóle, od czasu bytności tu Speke'go, charakter Mtezy uległ zupełnej zmianie; również zmiana postrzegać się daje w obyczajach całego narodu.

«Sposób wykonywania wyroków śmierci jest tu nader ciekawy. Na skinienie króla, które ma oznaczać skazanie na śmierć, nieszczęśliwego chwytają oprawcy (agenci policyjni mający za godło sznur); zakładają mu na szyję pętlę, i końcem sznura związują ręce na piersiach. Tym sposobem skazany nie może rąk opuścić, albowiem sam zaciągnąłby pętlę i udusił się. Drugą taką samą pętlę zakładają mu na szyję, z tą różnicą, iż koniec sznura z tyłu szyi przeciągają przez kolumnę pacierzową, pomiędzy nogami i następnie przywiązują do pierwszego sznura, krępującego ręce na piersiach. Tak więc znów skazany nie może podnieść rąk do góry, albowiem zaciągnąłby drugą pętlę i udusiłby się. Nieszczęśliwy zesznurowany w ten sposób, najspokojniej idzie za swoim oprawcą; nikt na niego nie zwraca uwagi, nikt się temu nie dziwi. Oprawca i skazany oddalają się rozmawiając ze sobą, a przyszedłszy na brzeg strumienia, lub innej jakiej miejscowości przeznaczonej do tego rodzaju operacyj, pierwszy z nich jednoczesnem pociągnięciem za oba sznury, w mgnieniu oka dusi ofiarę.

SZKICE

Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

(Ciąg dalszy.)

Przestrzeni tu nie brak, rozmaici też wielcy książęta, nie psując charakteru ogrodów, wprowadzili tu uprawę roślin użytecznych, jakoto morw i ziemniaków. Plan ogólny i ornamentacye ogrodu Boboli, są dziełem Mikołaja Biaccini'ego i Bernarda Buontalenti'ego, którzy w 1550 roku założyli tę wspaniałą siedzibę.

Na około Florencyi znachodzimy mnóstwo willi historycznych—jakoto: *Poggio imperiale*, która z rąk Cosmusa I Medycejskiego przeszła do Orsinich, następnie do Odescalchich i Magdaleny Austryjackiej. Wchodzi się do tej rezydencyi od strony Florencyi przez wzgórze wysadzane wspaniałą aleją cyprysową—powyżej wznosi się pagórek Arcetri, słynny z swych winnic. Dalej ciągną się wille: *del Giojello*, w której Galileusz spędził ostatnie lata swego życia—*Mozzi*, ulubione miejsce pobytu Cosmusa starego—*Careggi*, gdzie Savonarola odwiedził na łożu śmiertelnem Wawrzyńca Medyceusza, i nie udzielił mu rozgrzeszenia—*Rimuccini*, dziś *Palmieri de tre visi*, schronienie w czasie morowej zarazy w 1348 roku bohaterek Boccacia—wreszcie *Pratolino*, dziś zniszczone i puste, którego wodotryski i piękne plantacye odrysowane przez Buontalenti'ego, zachwycały niegdyś straszliwą i romantyczną wenecyankę, Biankę Capello. Widzieć tu jeszcze można kolos Apeninów, dzieło Ammanati'ego. Tragiczne dzieje Bianki Capello i Warzyńca Medyceusza rozwiązują się w *Poggio a Catano*, prześlicznej wielkoksiążęcej willi, przerzniętej rzeką Ombrone, gdzie twórcza wyobraźnia znakomitego architekta Juliana de San-Gallo, znalazła szerokie pole popisu.

Piza i Padwa chlubią się swemi ogrodami botanicznemi, założonemi w 1544 i 1545 roku, należącemi zatem do najstarszych w Europie. W Pesaro książęta Urbino posiadali parki. Genua okazuje oczarowanemu turyście ogród słynnych Doriów. Zniszczone kolumnady, chaszcze rozrastające się obecnie w dawnych alejach, nie mogą odjąć tarasom wybitnej ich piękności i widoku morza, zabarwionego żywszym od niebios błękitem, morza, którego fale zdają się być złożone z szafirowych kryształów.

Ogrody Rzymu i poblizkich mu gór, należą do epoki nie późniejszej od szesnastego wieku—poprzedzają one wszakże styl klasyczny i ściśle się wiążą z epoką odrodzenia. Dążność do wspaniałości przechodzi w nich w przesadę—wdzięk przerabia się w manierę. Labirynty, przepyszne wschody, jakby przeznaczone do obrzędów uroczystych zwycięzkiego ludu, prowadzą do lichego domku zdziwionego i zawstydzonego swym olbrzymim piedestałem. Wszędzie tu marmur, łupek i cegła, powyginane bukszpany i cisy rysujące arabeski i godła, szafy i posągi wygrywające melodye muzyczne z pomocą rozmaitych instrumentów wodą poruszanych. Prezydent Brosses nie bez pewnej słuszności szydził z festonów roślinnych i kamiennych i z osobliwych koncertów hydraulicznych, o których niżej wspomnimy Niema miejscowości bardziej uprzywilejowanej od Tivoli. Jej *grota Syren*, wody kryształowej przejrzystości, wieczysta świeżość mu-

rawy, cieniste stoki parowów głębokiej doliny, pociągały Mecenasa, Kwintyliusa Varusa i Horacego. Słynna Zenobia, zwyciężona i wzięta do niewoli przez Aureliana, tu zakończyła głośne swe życie. W czasach nowożytnych ludzie zamożni usiłowali w tej miejscowości wystawić dla siebie uroczą ustroń, lecz smutny stan finansowy rzymskiego skarbu i niedbalstwo właścicieli pobrzeży rzeki Teverone, sprowadziły w te okolice, niegdyś słynne ze zdrowego powietrza, niszczącą wilgoć, wytwarzającą chorobliwe miazmata, i przywiodły do ruiny przepyszne wille zbudowane i pielęgnowane przez najpierwszych artystów z epoki odrodzenia.

Willa książąt d'Este, którą Pirro Ligorio odrysował w 1549 roku dla kardynała Hipolita d'Este, już w 1730 roku została opuszczoną.

Gdyby, powiada prezydent Brosses, ogrody jej nie były niedbale utrzymywane, przewyższyłyby niewątpliwie istniejące w Frascati, ze względu zwłaszcza obfitości w nich wody.

Położenie ich było najszczęśliwszem, opływały we wszystko. Posiadłość ta łączyła wzgórze z rzeką niżej przepływającą, pozwalała, że tak powiemy, sięgnąć ręką do łożyska Teverony. Istniało tu przeszło tysiąc wodotrysków; życzyćby wszakże należało, aby z tego tysiąca zniesiono przynajmniej dziewięćset lichych strug i bawidełek iście dziecinnych, a zabezpieczono pozostałe od rdzy i zniszczenia.

Wyobraźmy sobie dwie linie wodotrysków, a pomiędzy niemi kanał przerzynający taras. Tu woda wyrzucana w postaci słupa — tam sadzawka smoków, wodotryski Bachusa, Trytona, Arethuzy, Pegaza, dalej groty Wenery i Sybilli. W końcu tarasu, od strony miasta, wody napływały do ogrodu przez portyk ozdobiony kolosami i tworzyły taflę wodną niepospolitej szerokości i głębokości. W sąsiedztwie *Roma antiqua*, rozkrzewiony gaj posiadał instrumenta muzyczne, na których wiatr wygrywał melodye. Ptaki sztuczne, poruszające skrzydłami, śpiewały za pomocą przewodów powietrznych i wody. Przypominało to powiastki cudowne, opowiadane dzieciom o jabłku śpiewającem, o tańcującej wodzie i maleńkiej ptaszynie wszystkoznawcee. Cyprysy tarasowe rozrosły się tu kolosalnie, dodając okazałości pierwszemu planowi i niezmierzonej perspektywie, w której Rzym stanowi najdalszą głębię.

Wzgórza tuskulańskie, aż do najwyższych swych wierzchołków, nie są niczem innem, tylko rozległym ogrodem, należącym do czterech czy pięciu rodzin książęcych. Jakież to wspaniałe ogrody! Nie licząc już Piccolomini'ego, znachodzimy od wschodu stuletnie platany willi Falconieri (1548 r.) — dalej na wyżynie kasyno Ruffinella, zbudowane przez Vanvitelli'ego, w miejscu gdzie stało niegdyś gimnazyum Cycerona. Niżej Taverna, Conti Torlonich i Mondragone Borghese'ów, z pałacem liczącym czterysta okien, zdumiewającemi kuchniami, bogatemi kominkami, z pięknym portykiem zbudowanym przez Vignola i przepyszną aleją zielonych dębów. W końcu, na zachodzie, słynna willa Aldobrandini — góra przerznięta tarasami osłoniętemi zielenią — groty i wodospady, dziś pozbawione wody, ozdabiane przez Jakóba de la Porte i Fontanę, dla synowca Klemensa VII, który w ciągu dwóch lat wydobył pięć milionów z kufrów swojego wuja.

Z tych wyżyn graniczących z willą Cycerona, widać w dali góry Sabińskie, winnice zdobiące ich podnóże, i ciche okolice Rzymu, zasłane szczątkami wodociągów i ruinami architektury — wszystko to przedstawia się jak kostnica cmentarna. Aleja platanami wysadzana, szpalery grabowe, architektonika wschodów, balustrady i tarasy wzbudzają powszechny podziw w willi Aldobrandinich. Przy wejściu opartem o górę, z portyku przystrojonego kolumnami i posągami, wylewają się wody napływające z wyżyny w kaskadach. To letni pałac włoski, urządzony dla wielkiego pana z klasycznym poglądem na sztukę, pojmującego naturę według krajobrazów Poussin'a i Klaudyusza Lorrain'a.

Wielki wodotrysk w belwederze Aldobrandinich, wyrzucał wodę z przerażającym szumem — który sprawiała woda i powietrze mieszające się z sobą w rurach w tym celu urządzonych. Wzgórze przedstawiało trzy piętra ozdobione portykami i fasadami wiejskiej architektury, wodospadami i wodotryskami, pobudowanemi na całej jego powierzchni. Na najwyższem piętrze kręcone kolumny wyrzucały wodę w snopach spiralnych.

Aleje w nizinie wysadzane drzewami pomarańczowemi—gradusy, balustrady i wazony pełne mirtów i granatów w jednej linii, zestawione z wawrzynowemi palisadami, niemało przyczyniały się do upiększenia tej miejscowości. Chcąc mieć wyobrażenie o ponętach i osobliwościach willi, potrzeba odczytać opisy turystów którzy zwiedzali ją w ostatniem stuleciu. De Brosses opisuje nam tę willę z właściwą mu werwą gallicką.

«Fasada budynku, powiada, ma dwa skrzydła kątowate w postaci grot zbudowane. W jednej z nich centaur trąbi na rogu, w drugim Faun wygrywa na flecie za pomocą pewnych kanałów, dostarczających powietrza instrumentom owych kamiennych wirtuozów. Opłakaną jest przecież ta muzyka. Obadwa ci panowie mogliby wrócić na niejaki czas do szkoły wraz z dziewięciu Muzami, popisującemi się w sąsiedniej sali ze swym mistrzem Apollem. Koncert jaki dają te figury na górze Parnasu, za pomocą tegoż sztucznego przyrządu, dość lichy. Wynalazek ten zdawał się, mnie przynajmniej, dziecinnym, i niekoniecznie przyjemnym. Chłodno się patrzy na te dziewięć figur kamiennych, pomazanych kolorami. Opodal Pegaz uderzeniem kopyta dobywa źródła Hippokreny. Gdyby owe księżniczki i ptaki, nie zadawały sobie trudu rozbijania głów zwiedzającym ten salon, byłby bardzo miłym w czasie lata. Kanały przeprowadzone pod posadzką, roznoszą tu prąd świeżego powietrza. Zasiedliśmy na placu belwederskim w najlepszej wierze przysłuchując się wygrywaniu Centaura na rogu, ani domyślając się obecności całej setki małych zdradzieckich rurek, rozprowadzonych między spojeniami kamieni. Nagle rurki te wyrzuciły na nas kaskadę wody. Zasługuje tu na szczególną wzmiankę mały, ruchomy wschodek, za nastąpieniem którego wytryska woda, a strumienie jej krzyżują się we wszelkich kierunkach, z góry, z dołu, z boków. Pochwyconym zostajesz w tę pułapkę i nic możesz z niej się wydostać. Widziałem wesołe towarzystwo, które weszło do oberży całkiem przemokłe i zmieniwszy ubranie wróciło do kaskad, lubując się widocznie w tym niesmacznym dla mnie żarcie — i powtórnym też uraczone zostało wylewem. Zabrakło sukni suchych i trzeba było położyć się spać w mokrych».

Willa Borghese pomimo swej rozległości i powabów, nie dorasta Frascatyjskiej, pełnej czaru poetyckiego. Przenosimy nad nią przepyszny ogród Ludovisi, z jego wawrzynowemi płotami, samotnym lasem zielonych dębów, aleją stuletnich cyprysów, pamiątkami starożytności i ogrodzeniem wytworzonem przez mury Rzymu — co wszystko stanowi ruinę naturalną. Willa Borghese, położona w niewielkiej odległości od Bramy Ludu, jest w dnie świąteczne miejscem publicznej przechadzki. Jest to obszerny park, cztery mile mający obwodu, wystawiony kosztem skarbu papiezkiego za czasów Pawła V, wuja Borghesów, i pieniędzmi samychże Borghesów.

Przy wejściu, portyk egipski sprawia najgorsze wrażenie — wnętrze jego natomiast więcej harmoninej,

ba, nawet i całkiem klasyczne. Tu perystyl, tam mała świątynia, dalej ruiny, kolumnady, portyk, balustrady, wielkie okrągłe wazony i rodzaj cyrku. Na gruncie falistym, powyginanym, rozsiadły się piękne łąki porosłe wszędzie czerwonemi wietrznicami (anemonae) giętkiemi i drgającemi. Odosobnione sosny, rysują na horyzoncie swe trzony wysmukłe i głowę poważną — proste i żłobkowane jak kolumny, dźwigają swą kopułę w cichy lazur. Na zakrętach alej olbrzymie dęby wznoszą swe pnie okrągłe, wyrównywające objętością najpotężniejszym drzewom.

Papieże poświęcali znaczne sumy na upiększenie swych pomieszkań. Ogrody Kwirynalskie założone w siedmnastem stuleciu przez Papieża Urbana VIII, rozpościerają się od podnóża do szczytu stoku. Zdaje się nam, że przechadzamy się wpośród krajobrazów Perelle'a, postępujemy wśród szpalerów grabowych, cyprysów powycinanych w wazony i kwater kwiatowych obsadzonych bukszpanami wyobrażającemi kolumnady i posągi. Ogród cechuje się chłodną foremnością i powagą — więcej przystoi ziemi włoskiej niż francuzkiej. Graby w nim łączą się z wawrzynami i bukszpanami, opierającemi się dżdżystości zimy i upałom lata. Dęby korkowe nie utracające nigdy zielonych liści, w każdej porze roku dają cień gęsty — mury z trwałych krzewów wytworzone powstrzymują silne prądy atmosfery. Woda tryska ze wszech stron — pociąga wzrok swym różnorodnym ruchem i zasila drzewa w alei. Z balustrad widzieć się daje całe miasto, Ś-ty Piotr i Janiculum, którego linia wężowata faluje w purpurze zachodzącego słońca. Dalej zstępujemy z wielkich schodów o spadku łagodnym aż do sadzawki środkowej, w której pięćdziesiąt wytrysków wodnych gromadzi swe wody modrawe. Obok, rotunda pełna mozaik, nęci pod swe sklepienie cieniem i świeżem powietrzem. W pięknym ogrodzie Watykańskim znajdujemy ślady sztuki z epoki odrodzenia — a mianowicie rozległe kwatery kwiatowe założone przez Mikołaja V, powiększone i przyozdobione przez Juliusza II wspaniałą architekturą, według rysunku Bramantego. (¹)

W fasadzie głównej budynków go otaczających napotykamy niszę, w której mieszczą się dwa pawie i wielka szyszka sosnowa z bronzu, które to ornamenta przystrajały niegdyś tamy Adryana.

Dalej napotykamy ogród, w którym Pius IV zlecił zbudować znakomitemu architektowi Pirro Ligorio, okazałe kasyno ozdobione prześlicznemi kolumnami i posągami. To willa Pia. Mnóstwo tu sadzawek i wodotrysków, z pośród których wyróżnia się mały zbiornik brązowy, wyrzucający wodę z wielkim szumem aż z pięciuset wytrysków. Cacko to niewielkie lecz zajmujące. Wyobraża ono rodzaj okrętu o dwóch rzędach dział — około jego masztów, rej i bander, strugi wody tworzą liny i żagle — działa zaś wyrzucają snopy wody. Obok tego liczne wytryski wodne oblewają od szczytu do podnóża skałę osłaniającą sadzawkę i wodotrysk. Wojowniczy Juljan II, współczesny Michałowi Aniołowi, polecił znakomitemu architektowi Vignoli'emu nakreślić plan wytwornej willi i zbudować ją poza murami Rzymu, od strony Bramy Ludu. Kolumny koryncki podpierają tu portyk kolistego podwórca. Z lewej strony rozwija się szeroka pochyłość, którą można przebywać konno — wiodąca do rozkosznej loggia (loży) opartej o kolumny i zaopatrzonej obszernym balkonem. Tutaj to Juliusz po wieczerzy rozprawiał o literaturze i sztuce z Michałem Aniołem, Rafaelem lub Bembem. Mury tej budowli oparły się spustoszeniom czasu, lecz ogrody znikły. Kaczory nurkują się w wodospadach, praczki piorą chusty na krawędzi zbiorników marmurowych. Kolumny nurzają się dziś w gnoju, a szopy zasłaniają piękny rozkład budowli.

Przytoczyć nam tu wypada słowa Prezydenta Brosses, określające wyspy Boromejskie na Lago-Maggiore, a mianowicie *Isola Bella* przyozdabianą w siedmnastym wieku (1670 r.) przez księcia Witaliena Boromeusza.

«Mnóstwo arkad, powiada on, zbudowanych w pośród jeziora, podpiera górę piramidalną, z czterech boków przerznięta trzydziestoma sześcioma tarasami piętrzącemi się nad sobą — innemi słowy, dziewięć tarasów przypada na jeden bok góry. Liczba to wszakże nie tak wielka, gdyż budowle zajmują znaczną część w tej piramidzie. Każdy taras przyozdobiony jest w głębi palisadą złożoną z jaśminów i granatów lub drzew pomarańczowych, a na krawędzi przystrojony balustradą, zapełnioną wazonami kwiatów. Szczyt piramidy wieńczy statua konna, tworząca wodotrysk, a cztery narożniki upiększone są posągami, obeliskami i wodotryskami.

Całość przypomina nam pałace zaczarowane wschodnich powieści. Ogród jest bez porównania ponętniejszym z wejrzenia niż wewnątrz, chociaż i tu niektóre jego części przedstawiają wytworność niepospolitą, jak gaje drzew granatowych i pomarańczowych, korytarze grot, a przedewszystkiem szerokie szpalery cytrynówki, i drzew cytrynowych obciążonych owocem».

W wielu miejscach ogrody te mogą nie budzić wrażeń estetycznych; bądź co bądź tworzą one piękną całość. Trudno znaleźć coś wspanialszego i weselszego nad wybrzeża jeziora Lago-Maggiore, z ich przepyszną roślinnością i horyzontem zakończonym łańcuchem gór śnieżystych.

«Nie potrzeba odbywać podróży do Włoch ani gdzieindziej, powiada Ollivier de Serres, dla zachwycania się sztuką ogrodniczą, gdyż Francya przewyższa w niej wszystkie narody i tworzy uczoną szkołę, z której czerpać można naukę.»

Ducerceau biegły architekt, opisujący od 1576 — 1579 roku piękne rezydencye środkowej Francyi, wymienia mnóstwo ogrodów, które nie ustępują bynajmniej słynnym wiejskim siedzibom włoskim. Do takich należy Folembray, z parkiem mającym milę francuzką obwodu. Vallery (o pięć mil francuzkich odległe od Fontainebleau) z zamkiem otoczonym sadami i winnicami, tudzież wielkim ogrodem, dotykającym do stawu i sokolarni, osłoniętym od zachodu galeryą o dwudziestu dziewięciu arkadach sklepieniowych. Beauregard i Bury, posiadające ogrody najforemniej czworoboczne, podzielone na małe kwadraty, z dwóch stron okolone galeryami ciesielskiej roboty, oraz pawilonami na każdym narożniku. Montargis z galeryami w stylu klasycznym, strojnemi bluszczem i ogrodem podzielonym na małe kwadraty, wysadzone drzewami karłowatemi. Blois z prześlicznemi kwaterami kwiatowemi, otoczonemi winem i z długą aleją wiązów, sadzonych w cztery rzędy, i łączących się z lasem pobliskim. Chantilly przerobione i ozdobione przez le Notre'a — wreszcie Chenonceaux, Verneuil, Anet i Gaillon. Te trzy ostatnie, przewyższają jak się zdaje inne wdziękiem położenia i umiejętnem z niego zużytkowaniem — posiadają taras i rozległą perspektywę. Do wytwornych ogrodów francuzkich należy bezwątpienia istniejący w Saint Germain, nad którym panują przepyszne galerye, otwierające szeroką perspektywę na uroczą dolinę Sekwany. Ducerceau wychwala niewyczerpane wody w Verneuil i labirynt, któremu z łacińska nadaje nazwę *dedalus*.

Pomimo licznych przeróbek dokonanych w Fontai-

(¹) Pod tą nazwą dał się poznać znakomity budowniczy włoski Donato Lazzari, ur. w r. 1444, zmarły w 1514; r. był on mistrzem w stylu odrodzenia. Bramante był niemniej niepospolitym malarzem.

nebleau, ogrody jego nie zmieniły przecież swej dawnej fizyognomii, i noszą na sobie do dziś dnia cechę stylu odrodzenia. Charakterystykę główną ogrodów tej miejscowości stanowi rozległy staw, utrzymywany przez olbrzymią groblę, zasadzoną czterema rzędami wiązów, tudzież różnica zachodząca między poziomem podwórza wodotrysku a wielkiej kwatery kwiatowej. W Fontaineblau znajdujemy prócz tego miejsce wyznaczone do gry w piłkę, palestrę, i równie jak w innych willach bukszpany ocieniające fossy zapełnione wodą, poobcinane cisy, altanki i galerye ciesielskiej roboty, podpierane karyatydami pomalowanemi farbą zieloną, wreszcie groty, wodotryski i pomniki w stylu przypominającym pawilon Pomony.

Henryk IV przyłożył się wielce do ozdobienia Fontainebleau — wzniósł on w środku kanału kolosalny posąg Tybru, odlany za Franciszka I, a na wielkim stawie prześliczny pawilon ośmioboczny, wybornie nadający się do tajemnych konferencyj i rozmyślań. Król ten obok tego urządził sadzawki w ogrodzie sosnowym, ozdobił wodotryskami kwatery kwiatowe, otoczył je trwałemi palisadami i ocienił starodrzewem. Z jego polecenia warzywa cofnięte zostały na dalsze plany i ogrodzone powabnemi galeryami, które z jednej strony łączyły się z wielką kaplicą i pawilonem zegarowym, z drugiej zaś dotykały królewskich apartamentów. Piękne te budowle zniszczone zostały przez pożar, a na ich miejscu Ludwik XIV zbudował oranżeryę. Piękny park wiodący z ogrodów do lasu, jest również dziełem Henryka IV — on to zasadził go i otoczył wielkim murem, mającym milę długości, na którym rozwieszała się słynna «winna latorośl królewska.»

Zaznaczyć winniśmy, że w czasie pokoju jaki zawdzięczała Francya Henrykowi IV, przejawił się drugi okres epoki odrodzenia, na który wywarła pewien wpływ Florencya. Olivier de Serres, rysując plan parku, zawsze w nim pomieszczał ogród botaniczny okrągły lub kwadratowy. Sztuka wytwarzania z roślin rozmaitych obrazów, dosięgła wówczas zenitu swego rozwoju.

Ciekawe są niektóre szczegóły dotyczące ornamentyki ogrodu w Saint-Germain, i założonych przez tegoż władcę nowych ogrodów w Tuilleries i Fontainebleau, w których ogrodnik Jego Królewskiej Mości, Klaudyusz Molet, złożył dowody swego talentu. Kwadratową taflę Tuillerów zdobiły bogate arabeski w kwadraty, romby i koła — zdawało się że jest to tkanina suto zahaftowana, używana do pokrywania wytwornych mebli. W pośród bogatej ornamentyki architektonicznej, naśladującej kwiaty, liście, palmy i t. p., widnieje początkowa głoska królewskiego imienia «H», przepołowiona mieczem, skrzyżowana dwoma berłami Francyi i Nawarry, i przewiązana czworoboczną wstęgą z narożnikami złożonemi z małych kwadratów i czterech bocznych półkuli. W środku, królewską cyfrę «H» otaczają sierpy i gałązki laurowe, dwukrotnie wiązane.(¹) W Fontainebleau widzimy owale otaczające koło, z którego rozchodzą się promieniste ścieżki. W ogrodach Saint-Germain, cyfry królewskie były znacznej wielkości, laurowe gałązki caduceusów miały dodane skrzydła, a na wstędze odczytywano te słowa: *Duo proteget unus*, co ma oznaczać, że jedno berło dwom daje opiekę. Olivier de Serres podaje plan ogrodów w Saint-Germain, i sposoby urządzania alei prostych, prowadzenia przekątnych, krzywizn, zakładania grzęd i klombów.

Skażony smak, cechujący upadek sztuki ogrodniczej we Włoszech, nie wywarł żadnego wpływu na królewskie i książęce ogrody we Francyi; rozszerzył się natomiast we Flandryi, a głównie w Hollandyi; w blizkości Harlem, szpaler grabowy przedstawia całe polowanie na jelenia. Labuś (L'abbé)(²) de Clairmarais, w swym ogrodzie Saint-Omer, pielęgnował gruppy gęsi, indyków, żórawi, wyobrażone za pomocą cisów i rozmarynu,— a Labuś z Dunes, był strzeżonym przez żandarmów bukszpanowych. Pan de la Borde jeszcze w 1808 roku, widział w Chamboudoin, w prowincyi Beauce, drzewa pokryte liściem, których kształt wyobrażał różne instrumenta muzyczne.

Ogrody w Rueil, które, jak mówią, natchnęły Le Nôtre'a myślą urządzenia podobnych w Wersalu, były niewątpliwie najlepiej obmyślane i najbogaciej przyozdobione na zachodzie Europy w pierwszej połowie siedmnastego wieku. Cała ta posiadłość tworzyła przepyszną siedzibę, przy której gasła wielkość zamków królewskich. Należała ona zresztą do rzeczywistego króla, t. j. do Richelieu'go, który wielkim kosztem na tem miejscu wystawił rozkoszny domek, kupiony od niejakiego Moisset'a.

Roboty w Rueil ukończonemi zostały w 1621 roku; kosztowały one ogromną na owe czasy sumę 1,326,000 liwrów. Rozkład wód i w ogóle roboty hydrauliczne przewyższały to wszystko, czego dotąd w tej sztuce dokonano — mnóstwo osobliwości roślinnych i ornamentacyjnych stawiało tę rezydencyę książęcą na pierwszem miejscu. Tu kasztany indyjskie, pierwszy raz sprowadzone naówczas do Francyi, roztaczały na wiosnę pięciopalczaste swe liście, wydające się jak dłonie rozwarte — tam łuk tryumfalny, będący wiernem odwzorowaniem wzniesionego niegdyś przez Konstantyna, wiódł do bogatej oranżeryi — a dokoła plac mieścił przed fasadą przeszło sto wodotrysków, których wody rozbijały się w kaskadzie o trzech spadkach. Trzy grube słupy spienionej wody, wzbijały się raz jeszcze w górę z obszernego kwadratowego zbiornika, pomieszczonego na końcu kanału.

Nie ma już dziś ani kwater kwiatowych, ani parku i pawilonu na jeziorze, gdzie Richelieu przewodniczył odbywanym tu ministeryalnym naradom. W ośmnastym wieku rozkawałkowana posiadłość w Rueil, uległa całkowitemu zniszczeniu w 1793 roku.

SERYA III.

Ogrody w czasach nowożytnych.

Ogrody klasyczne. Le Nôtre.

Andrzej Le Nôtre, twórca francuzkiej szkoły ogrodowniczej, słynny nietyle z geniuszu wynanalazczego, ile raczej ze zręczności w korzystaniu z wiedzy swych poprzedników i umiejętnego jej zastosowania, urodził się w 1613 roku. Oddany zrazu malarstwu, złączył się z Lebrunem, wkrótce jednak wszedł na drogę wskazaną mu przez ojca, nadintendenta pałacu Tuilleryjskiego, i zaczął przyozdabiać ogrody królewskie w to wszystko, czego nauczył się w pracowni Vouet'a. Nie jest pewnem czy naśladował bezpośrednio, jak powszechnie utrzymują, system przyjęty w ogrodach włoskich, czy też zapatrywał się na ustrój ogrodów francuzkich w Gaillon i Rueil —gdyż między obu temi układami niema żadnej różnicy.

Le Nôtre posiadał smak wytworniejszy od współ-

(¹) Symbol ten zwany *Caduceus*, wyobrażanym też bywa w ornamentyce architektonicznej w postaci wężów, ze zwróconemi ku sobie głowami — i bywa godłem pokoju a częściej handlu.

(²) Nazwa nadawana we Francyi tym, którzy ukończyli studya duchowne, lecz nie przyjęli święcenia. L'abbé pobierał dochody z klasztoru, chociaż nie pełnił w nim żadnych obowiązków

czesnych mu mistrzów włoskich i szersze pojęcia o sztuce od artystów francuzkich poprzedzających Poussin'a. Nieporównaną jego wyższość stanowiła jednolitość planów. Ogród w jego pojęciu był tylko przedłużeniem pałacu. Le Nôtre starał się niemniej o to, aby jednym rzutem oka można było objąć całość. Z artystycznego punktu widzenia, pogląd jego wznosił się nad pospolitość ogrodów nieforemnych, zwanych chińskiemi lub angielskiemi, które mogłyby bez szkody być odłączone od sąsiednich im budynków, gdyż nie stanowią z niemi nierozerwanej całości.

Najwyższym celem sztuki nie jest bynajmniej naśladownictwo natury, lecz jednoczenie jej czarów z myślą artysty. Jeżeli oko nasze poszukuje harmonii w liniach krzywych, jeżeli parkom nadajemy pozór łąk i lasów, niemniej przeto utwory nasze są sztuczne, lubo więcej zgadzają się z nieładem właściwym przyrodzie, niż ze sztywnym klasycyzmem linij prostych. Zresztą można jednoczyć nieład z porządkiem i sam Le Nôtre często tego probował w Wersalu, Saint-Cloud i w Meudon.

(C. d. n.)

O PAJAKACH.

— Co to za brzydkie stworzenia!

— Ciało grube, bure, niezgrabne, na nogach tak cienkich, długich, kosmatych.

— Precz z pająkiem! — weźmy się do szczotki, poobmiatajmy te szmaty pajęczyny, której znów tyle namnożyło się po kątach!

Oto zwykłe wyrażenia odnoszące się do tych owadów, które bez względu na ścigające je prześladowanie i odrazę, tulą, przywiązują się nawet do siedzib ludzkich. Zdaje się jakby miały na celu nietylko uwolnienie mieszkań od much dokuczliwych, ale może i zwrócenie uwagi ludzi na osobliwość swego ustroju, na wytrwałość, oględność, dowcip prawie, widoczny w delikatnej a mozolnej swojej pracy — w tak pogardzanej pajęczynie.

W najodleglejszej starożytności zastanawiano się już nad pająkami. Legenda mówi, że kiedy król Dawid doznawszy porażki od wojska krnąbrnego syna swego Absalona, uciekał przed pogonią, ujrzał obrosłą gęsto roślinami pieczarę, i schronił się do niej. Zaledwie ukrył się w najgłębszym zakącie, gdy pająk, wylazłszy ze swej kryjówki, zaczął snuć przędzę i przytwierdzać ją do ścian przy wejściu do groty w ten sposób, że cieniuchne nici zamknęły wkrótce cały otwór przejrzystą siatką. Zaledwie ta praca dokonaną została, nadbiegli ścigający króla żołnierze; spostrzegli grotę, ale dojrzawszy zarazem pajęczynę, rzekli: «O! tędy dawno nikt nie przechodził, patrzcie jak gęsta pajęczyna zasłania cały otwór,..» i pobiegli dalej, a ukryty Dawid ocalał.

Salomon nazywał pająki malutkiemi lecz bardzo rozumnemi stworzonkami. Grecy zaś starożytni, podziwiając przymioty pająka, taką powieścią uświetnili jego pochodzenie:

Arachne, córka pewnego króla frygijskiego, miała się odznaczać nadzwyczajną zręcznością i biegłością w przędzeniu; sława jej rozniósłszy się daleko, doszła aż do Olimpu, i obiła się o uszy Minerwy, bogini mądrości, nauk i kunsztów. Wiedziona ciekawością Minerwa, chciała się naocznie o prawdzie przekonać, i w tym celu przybrawszy postać starej niewiasty, zjawiła się w komnacie, gdzie właśnie zastała pracującą Arachnę, i wezwała ją do przędzenia na wyścigi. Księżniczka przyjęła wyzwanie, wytężyła całą zdolność swoją i wnet przędziwo ziemianki przewyższyło pięknością dzieło bogini, która już miała uznać słuszność pogłosek o chwale Arachny, gdy nieoględna królewna, poznawszy mimo przebrania Minerwę, głośno ostrzegła Jowisza o samowolnem zstąpieniu jego córki na ziemię i o zwycięztwie, jakie nad nią ziemska dziewica odniosła. Rozgniewana Minerwa uderzyła Arachnę różczką i przemieniła ją... w pająka, który odtąd u Greków nazywać się zaczął *arachne*.

Dowcipna ta bajka wskazuje że kiedyś tkactwo, uważane za sztukę, musiało być bardzo cenione, skoro zajmując rączki królewnej, zazdrość bogini kunsztów wzbudziło. Dziś tkactwo zmieniło się na proste rzemiosło; i my także, porzuciwszy poetyczne legendy, z prozaicznej strony rozpatrywać będziemy te zwierzątka.

Mikroskop ułatwił nam poznanie tych cudów przyrody, niedostępnych gołemu oku, które w najmniejszej istocie wykazują mądrość i zabiegliwość natury. Wszystko co żyje, posiada potrzebne a właściwe ku temu narzędzia; ich rozmaitość jest tak wielka, że życie całych pokoleń ludzkich nie wystarcza na ich poznanie; jednak choćby na małej cząstce ciała jakiegobądź owadu, można pod mikroskopem bardzo zajmujące ujrzeć zjawiska. Szara powierzchnia ukaże nam się pokrytą kształtnemi prążkami i punktami; kosmate nogi wyglądają jak szczoteczki, których każdy włosek policzyć można; śliczne barwy okażą się tam, gdzieśmy się ich najmniej spodziewali, a błonka skrzydełka muchy lub komara wydaje się cudną przezroczystą tkaniną. Takim to sposobem poznano i w pająkach wszystkie przyrządy, potrzebne im do łowienia zdobyczy, żywienia się nią i wysnuwania z własnej istoty tej delikatnej przędzy, która im służy do chwytania skrzydlatego łupu.

Gromada pająków składa się z istot wiele mających podobieństw z owadami, lecz można rozróżnić je zaraz na pierwszy rzut oka po ogólnej postaci ciała i liczbie nóg, a zresztą różnią się one od owadów wieloma szczegółami w wewnętrznej swojej budowie.

W rzeczy samej pająki mają głowę zrosłą z tułowiem, i pozbawione są rożków czyli *macek* właściwych wszystkim owadom; mają cztery pary nóg, a nigdy nawet śladu skrzydeł, nakoniec oddychają zazwyczaj organami do płuc podobnemi, (z wyjątkiem niektórych, posiadających zwykłe dychawki) i mają przyrząd krążenia krwi, to jest, posiadają serce, tętnice i żyły.

Ciało ich składa się z trzech części: z głowy, jakeśmy mówili, spojonej z tułowiem, i to się zowie *głowotułowem* (cephalothorax) i z części trzeciej, złożonej już to ze stawowatych oddzielnych pierścieni, jak np. u niedźwiadka, już z jednej massy miękkiej, kulistej i bez wyraźnych działów, jak np. u ptasznika. Ta część zowie się *odwłokiem* (abdomen). Nogi, bardzo podobne do nóg owadów, wszystkie są przyczepione do głowotułowia, i prawie zawsze kończą się dwoma chwytnemi szponami; długość zaś ich stosunkowo do całego ciała zazwyczaj znaczna, często nieproporcyonalna. Z łatwością nogi te oderwać można, co zresztą bacząc na ich filigranową budowę nie byłoby dziwnem, gdyby nie ta własność, że po oderwaniu w krótkim bardzo czasie nanowo odrastają. Powtórna taka kończyna, jakkolwiek na pozór nie różniąca się od pierwotnej, nie jest jednak tak mocną, kształtną i sprężystą.

Dodać należy, że odwłok stanowiący większą połowę całego ciała pająka, połączony jest z głowotułowem

tylko za pomocą rurkowatego przegubu, będącego jedynym środkiem komunikacyi wewnętrznej między temi dwiema częściami.

Na przedniej części tułowu, którą nazwać możemy głową, znajdują się oczy i gęba. Oczu bywa zazwyczaj ośm, w rozmaity sposób ułożonych. W każdem oku, choć takie małe, rozróżnić można przezroczystą rogówkę, za którą leży soczewka i ciałko szkliste, dalej siatkówka utworzona z rozgałęzienia końca nerwu optycznego i powłoki materyi koloryzującej. Nie wiemy nic jeszcze pewnego o narzędziach słuchu u pająków, lecz są liczne dowody istnienia u nich tego zmysłu; zdaje się nawet, że niektóre z nich nie są obojętnemi na dźwięki muzyki. Dotykanie uskutecznia się głównie końcami nóg i przysadkami, któremi pyszczek jest opatrzony.

Pająki są zwierzętami drapieżnemi; poprzestają zazwyczaj na wysysaniu soków ofiar schwytanych; ażeby im ułatwić pokonywanie istot silniejszych, przyroda opatrzyła niektóre przyrządem do jadowitego kąsania. Wiele z nich żywi się owadami, które żywcem chwytają, i te mają pyszczek opatrzony parą żuwaczek (szczęk) uzbrojonych ruchomemi hakami. Inne pająki posiadają żuwaczki ukształcone w formie kleszczy, jak to widzimy u niedźwiadka. Pasożytne zaś zwierzątka należące do tej gromady, które wpijają się w ciała zwierząt ssących, mają pyszczek wydłużony nakształt trąbki, z której wychodzi rodzaj lanceciku, ze szczęk utworzonego.

U pająków chwytających żywą zdobycz, ruchomy hak żuwaczek ma blisko wierzchołka maleńki otwór, będący ujściem kanału od gruczołu jad zawierającego, i tym to otworem wydostaje się na zewnątrz jad, który zapuszczony w ranę pociąga za sobą prawie natychmiast umorzenie upolowanych owadów. U naszych krajowych pająków jad ten jest nadto słaby, ażeby mógł człowiekowi szkodzić, i dla tego niesłusznie wiele osób nabrzmienie lub czerwoność ukazującą się niekiedy na skórze, przypisuje ukąszeniu pająków.

Pająki znoszą jaja jak owady. Wielka ich liczba ościela jaja oprzędem jedwabistym nadzwyczaj delikatnym. Niekiedy matka pielęgnuje swoją rodzinkę, trzymając ją przy sobie, nawet piastuje na grzbiecie dzieci, gdy są jeszcze zbyt słabe ażeby chodzić mogły, i otacza je najczulszą opieką i troskliwością. Pająćzki tymczasem rosną, ale nim dojdą zapełnie dojrzałego wieku, po razy kilka linieją, a niektóre odbywają rodzaj przemiany, bo mając z początku tylko trzy pary nóg, w późniejszym wieku nabywają czwartą. Co do zmyślności, ta czasem nie mniej bywa zastanawiającą jak u innych owadów, niekiedy nawet wypadałoby przyznać im bardziej rozwinięte zdolności, gdyż zdarzało się że pająki dając się czegoś nauczyć, okazywały pewien stopień pojętności.

Naturaliści podzielili pająki na kilka działów, stosując się do różnic zachodzących w budowie ich odwłoka, jako też organów jakiemi te zwierzęta oddychają.

Podział ten jest następujący:

1) Członko-odwłokowe, mające odwłok stawowato ułożony.

2) Pająki właściwe, czyli oddychające organami do płuc podobnemi, mające odwłok kulisty, miękki, na którym nieznać podziałów.

3) Pająki dychawkowe, oddychające dychawkami, czyli otworami leżącemi po obu bokach odwłoku, jak to widzimy również u owadów.

4) Bezoddechowe, nie mające organów oddychania należycie wykształconych; pająki te o ile się zdaje, wciągają powietrze przez powierzchnię skóry.

Warto poznać bliżej zwyczaje i charaktery niektórych gatunków, i dla tego gatunki, przedstawiające wybitniejsze cechy tej gromady, opiszemy szczegółowo. I tak, do pierwszego działu należy:

Skorpion czyli *niedźwiadek*, którego odróżniamy dwa gatunki: Skorpion europejski, żyjący w południowych krajach Europy; ukłucie jego szkodliwem jest dla drobnych zwierzątek, ludziom jednak nie zagraża żadnem niebezpieczeństwem; przeciwnie, gatunek drugi, większy, tak zwany afrykański, strasznym jest zarówno dla ludzi jak i dla zwierząt; długość jego wynosi 6 cali, z powierzchowności podobnym jest do zwyczajnego raka; tułów ma bardzo krótki i nie widać spojenia z odwłokiem, który wydłużony przedstawia się w kształcie ogona złożonego z sześciu cząstek stawowato na siebie zachodzących. Obydwa gatunki opatrzone są dla zabijania zdobyczy i bronienia się przed napaścią jadowitym szponem, zakończającym odwłok niedźwiadka. Przy zaostrzonym końcu tego grotu, od spodu widzieć się daje kilka otworków, będących w związku z gruczołem jadowitym, wewnątrz ostatniej części ogona leżącym.—Ukłucie niedźwiadka afrykańskiego, jak już wyżej wspomniałem, jest dla ludzi niebezpiecznem a nawet śmiertelnem, jeżeli się nie użyje środków zaradczych. W Azyi, gdzie także nietrudno spotkać się ze skorpionem, urządzają widowiska, chwytając *Tarantulę* (o której poniżej mówić będziemy) i umieszczając ją razem z niedźwiadkiem w jednem zamknięciu.

Przytoczymy tu opowiadanie pewnej damy, która na Kaukazie przypadkiem była widzem podobnej zabawy:

«Pewien znakomity perski chan, mówi owa dama, przybył z całą swoją familią do Tyflisu, i mnie, jako żonie znacznego urzędnika, którego względów potrzebował, z całym przepychem wschodu złożył ceremonialną wizytę. Odwdzięczając się za tę grzeczność, po niedługim czasie odwiedziłam jego żonę. Pominę tu przyjęcie jakiego doznałam a przystąpię do opowiadania wypadku, który najbardziej utkwił mi w pamięci.

Siedząc dosyć długo u chanowej, znużona rozmową przez tłómacza prowadzoną, przypatrując się bogatym kobiercom rozwieszonym po ścianach, ujrzałam nagle tuż nad nami ogromnego niedźwiadka. Krzyknęłam—moja gospodyni odwróciła głowę w tę stronę, w którą poglądałam z przestrachem, i w tej samej chwili skorpion usiadł na jej ramieniu.

Zbladła, ale nie poruszając się z miejsca śledziła wzrokiem szybkie ruchy okropnego owadu; wszystkie jej niewolnice bez tchu prawie patrzyły na każde jego poruszenie, żadna jednak nie spieszyła z pomocą. W okropnej obawie patrzyłam na tę niepojętą mi bezczynność w tak przerażającej chwili, bo wiedziałam, że lubo Persowie i Gruzini mają sposoby uleczenia się z jadowitego ukąszenia skorpiona, często ono wszakże o śmierć przyprawia. Dopiero kiedy robak zszedłszy z atłasowej sukni oddalił się o 2 stopy od nóg chanowej, jedna z niewolnic uchwyciwszy ze stolika próżną głęboką czarę, przykryła nią niedźwiadka, i gdy ten szukając wyjścia przyczepił się do dna naczynia, przewróciła szybko czarę i nakrywszy szczelnie pokrywą, postawiła na stoliku.

Pytałam o przyczynę szczególnej obojętności w czasie tak widocznego niebezpieczeństwa; odpowiedziano mi, że skorpion rzadko kiedy rani, nie będąc rozdrażnionym, i że najniebezpieczniej jest przeszkadzać mu w biegu; dla tego mieszkańcy tamtych okolic wolą patrzeć spokojnie na skorpiona łażącego po obnażonej ich ręce, niż najlżejszem poruszeniem drażnić strasznego nieprzyjaciela.

Skorpion ciągle usiłował wyjść ze swego przezroczystego więzienia; z obawą lecz i z ciekawością przypatrywałam się niespokojnym jego ruchom; pierwszy raz widziałam z tak blizka tę groźną istotę. Wtem moja gospodyni przypomniała sobie, że poprzedniego dnia właśnie schwytano ogromną tarantulę, rodzaj jadowitego pająka,

który jest odwiecznym nieprzyjacielem skorpiona. Żona chana wyrzekła kilka słów do jednej ze służebnic, a ta za chwilę przyniosła kryształową również zakrytą czarę w której uwięziona była tarantula, zbliżyła się do stolika, obejrzała pilnie oba naczynia, i dając znak ręką swojej towarzyszce, aby przystąpiła bliżej ze skorpionem, przysunęła zwolna jedną czarę do drugiej. W mgnieniu oka brzękła pokrywa naczynia zawierającego tarantulę i ta wpadła w naczynie, w którem się skorpion znajdował. Tym sposobem dwaj śmiertelni nieprzyjaciele ze wszystkich stron zamknięci, ujrzeli się w miejscu zaledwie 6 cali średnicy mającem. Powtarzam, że to wszystko działo się o dwa kroki od nas i że lada niezręczność niewolnic mogłaby na nas wypuścić dwa najokropniej rozdrażnione jadowite owady. Z przestrachem i litością przyglądałam się tej osobliwej walce: niedźwiadek obracając się zwolna na wszystkie strony, wystawiał groźny swój ogon, a żółto-brunatna z długiemi kosmatemi nogami tarantula, krążąc w koło z nadzwyczajną szybkością, szukała miejsca, gdzieby również bezkarnie mogła zapuścić swoje jadowite haki.

Niewolnice chanowej patrząc na tę walkę, która się w Gruzyi do największych przyjemności liczy, zapomniały na chwilę o zwykłem uszanowaniu dla swej pani, i zbliżając się pomału, otoczyły nakoniec stolik, gdzie się ta ciekawa odbywała scena.

Walka skończyła się nareszcie śmiercią skorpiona. Uśmiechnęła się pani domu, niewolnice klasnęły w ręce z okrzykiem radości, a ja nie mogąc jeszcze ochłonąć ze strachu, pożegnałam moją uprzejmą gospodynię, przysięgając sobie w duchu, że ta pierwsza wizyta będzie ostatnią».

Dodać tu należy, że skorpiony żyją w gorącym klimacie, gnieżdżąc się w szczelinach skał i głazów, lub w wilgotnych miejscach. W czasie wielkich upałów kryją się w siedzibach ludzkich ku nadzwyczajnej trwodze mieszkańców.

Do pająków właściwych, których jest bardzo wiele gatunków, należy między innemi wspomniana już *Tarantula*, która przez mnóstwo bajecznych o niej powieści, głośną się stała. Powiadano że jej ukąszenie przyprawia ludzi o pomięszanie zmysłów, a nawet sprowadza szaleństwo, i że to uleczonem być może jedynie za pomocą muzyki, która pobudzając w ukąszonym niezwykłą chęć do tańca, trudem ztąd powstałym moc truciznie odejmuje.

Jak zwykle, w bajkach bywa część prawdy; przekonano się też w końcu, że ukąszenie, mianowicie w czasie upałów letnich, rzeczywiście sprawiało zapalenie i gorączkę, ale umysłu nie mieszało, ani też do tańca chęci nie wzbudzało. Bajka ta musiała być wymysłem szarlatanów, którzy udając szaleństwo, chcieli zjednać sobie u widzów politowanie i wyłudzić datki pieniężne jak najobfitsze. *(D. c. n.)*

DROBIAZGI.

Rzeczy nie każdemu wiadome. Pod tym nadpisem tygodnik paryzki «La Science pour tous» podaje wyjątek z jednego z dzienników nowoyorskich «Graphic», który pisze, że zanieczyszczenie rzek jest przedmiotem do najwyższego stopnia zajmującym uwagę Anglików, troskliwych o zdrowie publiczne. Złe to przybiera rzeczywiście rozmiary zastraszające. Nie jest ono wypływem jedynie kanałów miejskich. Nad brzegami rzek wznoszą się fabryki najrozmaitsze: fabryki wyrobów chemicznych, maszyn, farbiernie i t. p. z których wszelakie nieczystości, zatruwające wodę, do rzek spływają. Gdzieniegdzie, jak np. w Bradford, woda bywa tak zepsutą, że gdy się jej zaczerpnie z rzeki i zbliży do ognia, zapala się płomieniem. Człowiek pewien, który wpadł przypadkiem do rzeki i napił się trochę wody, umarł z tego. Wyziewy rzeki Clyde sprowadzają choroby podczas lata, a wody rzeki Mersey cuchną nieznośnie. W rzecze Bourne woda jest żółta jak okra a gęsta niby klej; koń, gdy się jej napije, zdycha. Wszystkie mniej więcej rzeki są w ten sposób zanieczyszczone, a ryby, które jeszcze zdołały się tu i owdzie w nich utrzymać, są tak chorowite, że nie są zdatne na pokarm, a nawet szkodliwe. Na stałym lądzie Europy, a mianowicie u nas, gdzie przyczyny złego, mianowicie fabryki, nie istnieją jeszcze w tak zastraszającej liczbie jak w Anglii, stan wód jest znacznie lepszy; nie brak jednak pewnych wskazówek, nawet na naszej Wiśle, które przypominać się zdają, że wszelkiemu złemu łatwiej radzić w początkach, aniżeli gdy się już w zatrważające wzmoże rozmiary.

Z Turkestanu. Chińczycy, jak wiadomo, pragną swój niegdyś Thian-Szan-Nan-Lu, czyli wyższy Turkestan, odebrać Jakubowi Begowi, awanturnikowi, który kraj ten od niebieskiego państwa oderwał. Wysłali więc przed trzema laty wielką armią przeciw temu nieprzyjacielowi; atoli armia ta, jak pisze dziennik «Ausland» dotąd jeszcze nie doszła do Kaszgaru. Wyprawiono ją bowiem bez odpowiednich zapasów żywności, a ponieważ wypadło jej przebywać pustynie, więc musiała się zatrzymywać kilka razy, budować sobie miasta tymczasowe, uprawiać ziemię, siać zboże i zbierać ziarno, żeby wyżyć podczas marszów zimowych. I dla tego to wojska państwa niebieskiego nie dosięgły jeszcze Kaszgaru, i zapewne nigdy się już w nim nie pojawią. Wiadomość ta, jeżeli prawdziwa, za co odpowiedzialność zostawiamy poważnemu zresztą pismu które ją podało, ciekawe rzucałaby światło na cywilizacyjne, ekonomiczne i polityczne stosunki ludów środkowej Azyi.

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Pani F. J. w Kaliszu.—Żądanych objaśnień i informacyj możemy udzielić tylko listownie; prosimy zatem o nadesłanie dokładnego adresu.

Panu Dan. w Lipowcu.—Numera brakujące wysłaliśmy; skarga Pańska na nieregularność w odbiorze numerów jest zupełnie usprawiedliwioną, lecz nie dotyczy ona Redakcyi, która wysyła pismo jak najregularniej, a nie jest w możności zapobiedz gubieniu się tegoż na poczcie.

Z. Z.—Prosimy o bliższe porozumienie się z Redakcyą.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski.**

Дозволено Цензурою, 26 Января (7 Февраля) 1876 года.